Rok III.

Nr. 32. Nr. 32.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 9 sierpnia 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Sprzedają nas.

„Vom Rechte, das mit uns geboren ist,
Von dem ist leider nie die Rede.“
(Goethe — Faust).

Zniesiono niewolnictwo. Cesarz Aleksander II położywszy w Rosji koniec sprzedawaniu dusz, nazwany został podobno sprawiedliwym. Handel murzynami i Chińczykami ścigany jest najsurowiéj na stałym lądzie i na wszystkich morzach całego świata.

Jedyny wyjątek stanowią Polacy.

Nie zdarza się wprawdzie jeszcze, żeby nas Niemcy chwytali i pojedyńczo sprzedawali, ale za to pragną zakupić hurtownie wszystkich Polaków z t. z. Królestwa Kongresowego.

Ktoby temu dał wiarę? A jednak tak jest istotnie!

„Mein Vaterland muss grösser sein“ — oto godło jedynie cywilizowanego narodu, w imię którego zagrabiono Szlezwig, Alzację i Lotaryngję — nie wspominając już o annexjach 1866 r. — w imię którego poczęty został plan kupienia na własność Kongresówki.

Jakto, w drugiéj połowie XIX wieku mówi się jeszcze o kupczeniu narodami?

Nie inaczéj, łaskawy czytelniku. Jeżeli powątpiewasz, to zapoznaj się z broszurą Dr. Karola Walckera, prof. finansów na politechnice w Karlsruhe, wydaną u Luckharda w Lipsku p. t. „O obecném położeniu Rosji a mianowicie o konstytucyjnych dążnościach szlachty rosyjskiéj i o stósunku Niemiec i Austrji do Rosji.“ Pomijamy tym razem wszystko, co nas Polaków wprost nie dotyczy a podajemy tylko esencjonalną treść projektu:

Dr. Walcker w broszurce swéj proponuje, aby Rosja sprzedała Niemcom Polskę za cenę, którąby obliczyć można, odciągnąwszy od podatków, wnoszonych przez ziemie polskie pod berłem rosyjskiém, wydatki na wojsko i administrację i skapitalizowawszy następnie tę dyferencję. Rosja, znajdująca się w opłakanym stanie finansowym, potrzebuje pieniędzy, a Prusy potrzebują koniecznie urodzajnego kraju pomocniczego (Reserveland). Cenę kupna mogłyby Niemcy zapłacić z kontrybucji francuzkiéj, a gdyby takowa już była spotrzebowaną, możnaby pokryć ją nową pożyczką Prus lub niemieckiego cesarstwa. Procenta od téj pożyczki dałyby się łatwo opłacać z nadwyżki dochodów Królestwa Polskiego, które przy znanéj doskonałości pruskiéj administracji i przy wniesieniu do kraju nowych kapitałów i rozprzestrzenianiu oświaty koniecznieby się podnieść musiały. Prusy, które już od roku 1795 do 1807 posiadały Warszawę i wielką część Królestwa Polskiego, potrafiłyby

powstrzymać wszelkie zakusy Polaków, wymierzone ku Litwie, a stojąc pod względem oświaty po nad Polakami, zgermanizowałyby po woli do tyla Królestwo Polskie, że musiałby z czasem ustać wszelki związek pomiędzy Królestwem Polskiém a Litwą. Rosja zyskać tylko może na téj sprzedaży, bo dobrowolne odstąpienie Niemcom Królestwa Polskiego nie byłoby dość stósownéem. Naturalnie, że najstósowniejby było, aby projekt téj sprzedaży wyszedł ze strony Rosji. Wiele też mówi ta okoliczność za tém, że skoro Rosja stanie się rzeczywiście państwem konstytucyjném, projekt podobny przedłoży prawdopodobnie Niemcom.

Trzeba być członkiem jedynie cywilizowanego narodu, trzeba być myślicielem wychowanym w tradycjach krzyżackich łupieży, żeby się stać inicjatorem i kuplerem tak bezwstydnéj frymarki, wnioskodawcą handlu narodem, o którego woli i prawach w całéj téj podłéj broszurze nie ma słowa wzmianki.

Osobistość Walckera znaną nam jest prywatnie. Ukończywszy w 1865 r. uniwersytet berliński, napisał obszerne, pełne erudycji lecz nasiąkłe służalczym zmysłem dzieło: „Kritik der Parteien in Deutschland.“ Wmięszawszy tam jure caduco filipikę przeciw polskim powstańcom i apologję Murawiewa-Wieszatiela, został docentem w Dorpacie. Studenci, oburzeni niecnemi tendencjami jego wykładów, wygwizdali go i przy odgłosie kociéj muzyki wyrzucili z katedry. Kilku studentów dostało się do fortecy a p. Walcker przeniesiony został z awansem do Charkowa. Dalsze jego losy są nam nieznane aż do chwili wydania sławetnéj broszury.

Dzieło to godne swego twórcy ma obok cynizmu także i komiczną stronę. Niemcy, zdaniem Walckera, mają kupić rosyjski dział Polski — lecz za jaką cenę? Za kapitał wyprowadzony z różnicy między dochodami a rozchodami Królestwa Polskiego!

Powszechnie jest wiadome, a profesorowi finansów rosyjskich w Karlsruhe specjalnie wiadome być musi, iż podatki Kongresówki nie wystarczają na pokrycie wydatków na wojsko i administrację i że Rosja corocznie znaczne dokłada sumy. Idąc zatém za uczonym projektem pana profesora finansów wypadłoby, że Rosja odda Prusom Kongresówkę i dopłaci jeszcze tyle a tyle miljonów rubli!

Trzecią cechą broszury Walckera, obok cynizmu i niedorzeczności, jest niedyskrecja. Powtarzamy niedyskrecja, bo inaczéj nie umiemy nazwać publikowania tajnych pragnień nietylko rządu ale i narodu niemieckiego, skarlałego moralnie tak bardzo, iż nie rozumie lepszéj przyszłości i wyższego szczęścia dla siebie, jeżeli to nie będzie się opierało na zaborze cudzéj własności, na krzywdzie sąsiadów.

Wspaniałe teorje o cywilizacyjnéj misji Niemiec są czczą gadaniną, prostym parawanem, po za którym ukrywa się bardzo prozaiczna tendencja kolonizowania szwabskich pionierów na bogatych polskich niwach, pozyskanie naturalnego łącznika z domniemanie uciśnioną bracią nad Baltykiem, zajęcie wybrzeży tego morza, bez którego handel niemiecki wiecznie schnąć będzie.

Myśl ta nie poczęła się w głowie Walckera. Marzenia o granicach z 1805 r. snują Niemcy od kilkudziesięciu lat — dawano im wyraz tak ze względów strategicznych jak politycznych a zwłaszcza handlowych. W ostatnich już czasach przemawiał w tym sensie importowany do pruskiéj izby panów nasz poznański burmistrz p. Kohleis, a p. Walcker, ogłaszając swoją broszurę, sformułował tylko czarno na białém myśli tkwiące głęboko w systemie rządowym i publicznéj opinji materjalnie zainteresowanego narodu.

Broszura Walckera potępioną została przez urzędowe i półurzędowe dzienniki niemieckie — nic dziwnego — broszura ta bowiem — zapewne wbrew intencji autora — jest prostą denuncjacją tajnego knowania niemieckiego rządu przeciw Rosji. Czy Rosja się opamięta? Czy znajdzie się choć jeden człowiek dość rozumny, żeby pojąć doniosłość niebezpieczeństwa, dość odważny, żeby je wskazać palcem?

Wątpimy. Pycha i zarozumiałość rozpostarły w Rosji panowanie od góry do dołu. Przeceniając swą materjalną potęgę, przekonani są Rosjanie, iż się oprą Niemcom — przeceniając swą wartość moralną sądzą, iż zmoskwiczą Polaków. Rozczarowanie będzie tak srogie jak klęska — oby ta klęska uleczyć Rosjan zdołała, oby sprowadziła ich politykę z fatalnéj drogi, po któréj wodzą ją za nos niemieckie palce.

Związki osobistéj przyjaźni władców Rosji i Niemiec nie stanowią bynajmniéj o niedalekiéj przyszłości. Dziś już nie polityka dworska panuje, lecz polityka interesów narodu. Interesa narodu niemieckiego prą go nad Baltyk i morze Czarne, prą go na urodzajne łany polskie i stepy Rusi. Dla stawienia oporu temu prądowi nach Osten, potrzeba większéj siły, aniżeli ją posiada Rosja. Siła ta będzie, jeżeli Rosja wykorzeniwszy nierozsądną i bezpodstawną nienawiść do Polaków, wymierzy im sprawiedliwość, jeżeli z przejednaną i zadowoloną Polską poda rękę braciom marniejącym pod potrójném jarzmem Niemiec, Węgier i Turcji.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ani na chwilę nie przypuszczał, żeby doktor Jan Pal, człowiek mający stanowisko jako lekarz, wynurzał miłość w zamiarze zaprowadzenia przed ołtarz i nazwania małżonką dziewczyny, zostającéj na łasce u takich biedaków jak Żaliccy. Był przekonanym, że młodym medykiem kieruje tylko chęć pobawienia się niewinném, ślicznem stworzeniem, poromansowania z Franusią i porzucenia jéj, gdy mu się znudzi.

Zrozumiał jednak, że zapóźno byłoby przeszkadzać temu teraz już, kiedy Frania doktorowi wyznała, że jego miłość podziela i że będzie należała do niego lub do nikogo.

— Poczekaj, paniczyku, — rzekł do siebie, ściskając pięści, — udało ci się zbałamucić sierotę, i przekonany jesteś, że się nikt o nią nie upomni, bo biedna i zostaje na łasce u ludzi. wszelako dowiesz się, że to nie taka łatwa sprawa ze starym Zakuckim.

Pozostał jeszcze długą chwilę w krzaku zadumany i zły. Wyrzucał sobie, że, gdyby nie jego dobre ale nieszczęśliwe chęci uzyskania opieki pana Grzmockiego dla Żalickich, nie byłoby przyszło do całego szeregu niemiłych i bolesnych zajść, które teraz biedne dziewczę opłacić może swą dobrą sławą i całą swoją przyszłością; nazywał się starym głupcem i „wszelako" ciemięgą, nie poruszył się jednak i nie zdradził, dopóki doktor Pal i Frania nie odeszli i echo ich rozmowy nie znikło.

Wtedy powstał, rozpatrzył się w miejscowości, poznał, że się znajduje w ogródku należącym do domu, w którym mieszkali Żaliccy, zrozumiał z tego, że kaźń, w któréj kilka dni spędził, chociaż go do niéj tak długo z domu pana Grzmockiego wieziono, gdzieś niedaleko znajdować się musi, pomyślał trochę, jak ma postąpić, a wreszcie machnąwszy ręką, jak miał zwyczaj czynić, kiedy się na co stanowczo zdecydował, poszedł w głąb ogródka, przelazł przez jeden jeszcze parkan i przez sąsiedni dom, nie zwróciwszy na siebie niczyjéj uwagi, wyszedł na ulicę.

IX.

Tego samego dnia i o téj saméj prawie porze pan Maurycy Grzmocki, który od czasu, jakeśmy się z nim po raz ostatni na kartach téj powieści widzieli, miał już czas wyzdrowieć, odbyć wycieczkę parodniową na wieś w okolicę z okazji imienin pana barona, teścia swojego syna, i powrócić do domu, siedział w swéj wykwintnie umeblowanéj kancelarji, którą na początku naszego opowiadania poznaliśmy. Zapomniał już widocznie o wrażeniach, na jakie się naraził przyjęciem propozycji przyjrzenia się odwrotnéj stronie medalu nędzy, był zadowolony i spokojny a zajęty właściwie niczém, bo tylko rozpatrywaniem i przeglądaniem rozmaitych już dawniéj poodczytywanych korespondencji.

W takiéj chwili ukazał się na progu kancelarji służący i oznajmił mu, że jakiś pan chce się z nim widzieć.

— Powiedział nazwisko? — zapytał pan Grzmocki.

— Nie.

— Wygląda na suplikanta?...

— Zdaje się... był tutaj już dwa razy podczas wyjazdu jaśnie pana hrabiego na wieś...

— Dobrze... prosić.

Mniemany suplikant wszedł, ukłonił się panu Maurycemu bardzo grzecznie, przedstawił mu się jako doktor Fryderyk Putzig, zasiadł na wskazaném sobie z całą uprzejmością miejscu i zdawał się oczekiwać, aż dostojny pan domu pierwszy przemówi.

Pan Maurycy miał w takich razach zwyczaj ośmielania swoich suplikantów rozmową o obojętnych przedmiotach.

Najczęściéj zaczynał o pogodzie. Poruszył więc ten nieśmiertelny przedmiot i wyczerpał go, przeszedł do najświeższych politycznych nowin i te obgadał; doktor Putzig odpowiadał potwierdzając wszystko, co się ojcu hrabiny i męża baronówny powiedzieć podobało, ale ciągle czekał, ażeby sam pan hrabia rozpoczął rzecz o interesie.

Pan Grzmocki spostrzegł się nareszcie, że się nie obędzie bez otwartego zapytania doktora, po co przychodził. Serdecznie nie lubił suplikantów, którzy go do tego zmuszali i bodaj czy nie przyrzekał sobie w duchu, gdy mu się taki przytrafił, że kiedy się każe ciągnąć za język, choćby potém okazał demostenesowską wymowę nic już od łaski jego nie uzyska.

— Pan konsyljarz zapewne w jakim interesie? — rzekł nie objawiając tonem głosu swojéj niechęci.

— Tak jest, panie hrabio, — odpowiedział doktor Putzig, — ja byłem przyjść względem tego nieszczęśliwego... pan hrabia dobrodziéj już będzie wiedzieć...

Pan Maurycy poszukał przez chwilę.

— Co ja wiem?... doprawdy nic a nic nie pamiętam... może listownie udawał się o wsparcie dla jakiego nieszczęśliwego... ale, tyle mi czasu zabił, że już nie mam chwili potrzebnéj na zajrzenie do skorowidzów... Odprawię go krótko i węzłowato.

Odchrząknął, jakby mu odmowa przykrość czyniła i z trudnością przechodziła przez gardło, i odpowiedział, nie zdradzając się, że nic nie wié, w jakim interesie doktor przychodzi, ale téż nie przyznając, że rozumie, o co rzecz idzie.

— Przyznam się panu, kochany konsyljarzu, że tyle już czynię dla „tych nieszczęśliwych", iż, doprawdy, choć nie powiem, że jestem biedny, samemu mi już nie wystarcza. Wystaw pan sobie, że w tym miesiącu... dzisiaj mamy dopiéro trzeciego... a cały fundusz, jaki na podobne cele przeznaczam, już się wyczerpał... Pofatyguj się pan z łaski swojéj na przyszły miesiąc a wtedy, jeżeli będzie można... chociaż nic nie przyrzekam... ubolewam nad tém, panie konsyljarzu, ale nic nie przyrzekam.

Doktor Putzig patrzył na pana Maurycego z niedającém się opisać zdziwieniem.

— Bitte um Entschuldigung, Herr Graf, — rzekł po chwili, — ale ja nie dobrze byłem zrozumieć.

Pan Grzmocki uzbroił się w stoicką cierpliwość i raz jeszcze, jak umiał najwyraźniéj, tłomacząc ważniejsze miejsca na język niemiecki, powtórzył Eskulapowi swoją decyzję.

— Pan graf, — odpowiedział na to Niemiec z powagą, — był uczynić mi zaszczyt wziąć mnie za bardzo naiwnego człowiek, für einen gar zu naiven... aber gar zu naiven Mann.

Brew pana Maurycego nachmurzyła się.

— Co panie? — rzekł głosem, w którym czuć było z trudnością hamowane rozdrażnienie.

— Ich bin Doctor, Herr Graf.. vergessen Sie es nicht...

— Wiem, że pan jesteś doktor, ale cóż ztąd? — odparł pan Grzmocki.

Doktor Putzig wstał z krzesła, zbliżył się do pana Maurycego i rzekł mu z miną tajemniczą, półgłosem, prawie do ucha:

— Ja się byłem od razu poznać, Herr Graf, że ten człowiek jest żaden warjat.

— Co pan gadasz?... jaki człowiek?... — zawołał zrywając się z fotelu, oburzony taką poufałością pan Grzmocki.

Niemiec usunął się cokolwiek ale nie pozbył się swéj miny tajemniczéj i poufałéj.

— Jezeli, aber, pan graf będzie chcieć tego, — mówił daléj, to on może być warjat.. to on jest warjat... już ja to będzie zrobić... man muss nur gut bezahlen und baar bezahlen, Herr Graf.

Zdziwienie pana Grzmockiego łatwo pojmiemy, jeżeli sobie przypomnimy, że nie wiedział nic zupełnie o awanturze, jaka spotkała nieszczęśliwego pana Kwiryna. Biorący wszystko na rozum kamerdyner Wincenty, po wykonaniu swojéj delikatnéj misji, uważał wprawdzie za stósowne powiedzieć hrabinie z domu Grzmockiéj i młodemu panu Grzmockiemu, małżonkowi baronówny, że ich polecenie zostało spełnione jak najakuratniéj, syn jednak i córka pana Grzmockiego uważali całe to zajście za zbyt błahe, żeby o niém dłużéj pamiętać i ojcu opowiadać mieli.

Ze słów doktora pan Grzmocki zrozumiał tylko tyle, że mu proponowano czy téż posądzano go o udział w jakiéjś kryminalnéj sprawce.

Krew w nim zawrzała.

— Ja mam płacić za to, żeby kogoś zrobić warjatem! — krzyknął nie panując już zupełnie nad swoim gniewem, — oszalałeś pan czy drwisz ze mnie?...

Groźna mina pana Maurycego nie zrobiła na doktorze spodziewanego wrażenia, owszém zdawała się jeszcze więcéj go rozzuchwalać.

— Um Gottes Willen, seien Sie still, Herr Graf! — ośmielił się rzec podniesionym cokolwiek głosem, — takie rzeczy trzeba robić vorsichtig, takie rzeczy nie powinni słyszeć lokaje...

Pan Grzmocki ochłonął trochę, ale jeszcze nie przyszedł do zwykłego swego spokoju. Czuł już, że zajść musiało jakieś nieporozumienie, niemniéj jednak oburzał się impertynenckiemi propozycjami i napomknieniami doktora.

— Nie rozumiem pana, — rzekł, — tłómacz się pan jaśniéj, albo zostaw mnie samego... nie mam czasu na banialuki!...

— Jeżeli pan hrabia nie będzie chcieć, żeby on był warjat... to ja będzie wypuścić tego nieszczęśliwego człowiek... aber in jedem Falle, ja jego już byłem zrobić warjat przez cztery dni aus reiner Gefälligkeit dla pana grafa, und ich rechne auf eine entsprechende Belohnung...

Słowa doktora tak dalece nie miały sensu dla pana Maurycego, że gniew jego zamienił się nagle w śmiech pusty:

— Co?... z uprzejmości dla mnie zrobiłeś kogoś warjatem i trzymasz go pod kluczem przez cztery dni? — zawołał zanosząc się, — ależ pan sam jesteś obłąkany, doktorze.. zaraziłeś się chyba od swych pacjentów?...

Gniew pana Maurycego nie był w stanie zmięszać doktora Putziga, lecz ta nagła wesołość zdziwiła go i zaniepokoiła.

Nie wiedział, co ma powiedzieć, stracił, jak to mówią, kontenans.

— Cóż to za jeden ten człowiek?...

— Ich weiss es nicht...

— Nie wiesz, kogoś zrobił warjatem?... ależ to nieocenione!... Gdzież jest ten człowiek?...

— On jest... on jest... — zająkał się naprawdę pomięszany doktor Putzig i nagle stanął jak wryty.

Niespodziewany widok jakby go piorunem uderzył.

W téj właśnie chwili otworzyły się drzwi kancelarji i wszedł we własnéj swojéj osobie pan Kwiryn. Szczęśliwym przypadkiem nie zastał w przedpokoju żadnego z tych lokai, którzy go odwozili z taką ostentacją do doktora Putziga, służba więc przedpokojowa zastósowała się do dawniéj wydanego rozkazu i pozwoliła mu wejść bez meldowania do gabinetu pana Maurycego.

Pan Grzmocki rad był z przybycia człowieka, który mógł być świadkiem napaści, jakiéj od kwadransu był przedmiotem, i dopomódz mu do wytłómaczenia doktorowi, w jakim pozostawał błędzie, zapomniał więc na chwilę o podejrzeniach, jakie powziął przeciwko Zakuckiemu z powodu zaszłéj przed kilku dniami przygody, i powitał go wesoło, podając mu rękę.

W téj saméj chwili doktor Putzig przyszedł do przekonania, że go oczy nie mylą i że w stojącym przed sobą panu Kwirynie widzi swojego pacjenta. Wskazał go zatém panu Maurycemu obudwoma rękami jednocześnie i zawołał:

— Hier ist er! hier ist er!

— Jakto? więc to ten pan? — zapytał nie przestając się śmiać pan Maurycy.

— Tak jest, on.. on... to on!...

— Ależ to nieocenione, to wyborne, — śmiał się ciągle pan Grzmocki, — wyobraź sobie, panie Zakucki, co temu człowiekowi się uroiło... Oto że ja, ja, jak mnie widzisz, kazałem mu, żeby ciebie w twojéj własnéj osobie zamknął jako obłąkanego w swoim szpitalu. Wmawia we mnie, że cię tam trzyma jeszcze, i pyta, jak długo ma jeszcze trzymać. Powiedz-że mu nareszcie sam, panie Zakucki, że mu się przywidziało, że jest w hallucynacji, że majaczy... może tobie uwierzy, bo moje perswazje odbijają się od niego jak groch od ściany.

Pan Kwiryn nie był człowiekiem w ciemię bitym. Przy wielkich damach tylko tracił głowę, ale w obec największych panów zachowywał całą swobodę i przytomność umysłu. Znamy go już zresztą z téj strony. Potrafił także orjentować się dosyć prędko w zawikłanych nawet sytuacjach, tę więc, w jakiéj się znalazł, wytłomaczył sobie, jak można było najnaturalniéj. Że był pod kluczem u doktora Putziga, o tém nie mógł wątpić, bo był, — teraz stawało się dla niego niewątpliwém, że go tam zamknięto z woli pana Grzmockiego. Świadczył o tém doktor, który go więził, świadczyło i to, że został zawieziony karetą pana Maurycego i pod eskortą jego służby. Trzecią niewątpliwością było, że pan Grzmocki chce się teraz wyprzeć swojego czynu i w tym celu żąda od Zakuckiego świadectwa. Pan Kwiryn mógł odmówić i powiedzieć prawdę, ale w takim razie wszedłby w otwartą wojnę z bogaczem, w którego kieszeni szukał ratunku na nieszczęście przyjaciół. Zaprzeczając, oddawał temu bogaczowi przysługę, zobowiązywał go sobie a nadto płatał porządnego figla doktorowi, który się dał użyć za narzędzie do popełnienia niegodziwości.

Wszystkie te kombinacje przyszły na myśl panu Kwirynowi bardzo prędko; upłynęła jednak pewna chwila, nim się zdecydował zaprzeczyć.

— Cóż, wahasz się pan, panie Zakucki, otworzyć oczy temu człowiekowi? — powtórzył pan Grzmocki, zadziwiony milczeniem pana Kwiryna.

— Nie waham się, — odrzekł pan Kwiryn, — ale przyjść do siebie nie mogę z zadziwienia, że człowiek taki jak ten pan, wszelako wyglądający na poważnego i statecznego, może się tak grubo mylić. Nie widziałem go nigdy w życiu i on mnie zapewne nigdy w życiu nie widział. Pan dobrodziéj, — dodał zwracając się do doktora, — był zapewne przed chwilą na jakiéj biesiadce w handelku?...

Słowa te dobiły doktora Putziga.

— So ist es! — zawołał chwytając się za głowę, — ah! ich werde selbst wahnsinnig werden.

To powiedziawszy wybiegł z kancelarji. Zakucki sam pozostał z panem Maurycym.

Pan Grzmocki śmiał się jeszcze dość długo z tak oryginalnego zdarzenia, powoli jednak spokojniał i poważniał, aż nareszcie spojrzał na Zakuckiego zupełnie innym i wcale nie sympatycznym wzrokiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zadania filozofji w naszych czasach

napisał

Dr. **Józef Descours de Tournoy.**

(Dokończenie.)

Najoryginalniejszém jednak wcieleniem uczucia jest zapewne obyczaj, gdyż w nim widzimy dążność do usystematyzowania, uporządkowania tego, co zwykle uważa się niepodobném do urzeczywistnienia. Na tém też zależy potęga obyczaju, że wpływa na wolę nie jako kapryśne osobiste uczucie, ale jako cały systemat uczuć w ład wprowadzonych.

W trzech objawach, to jest w instytucji, obyczaju i prawie uczucia nie można oddzielać od woli; ale ostatnia objawia się w nich jednostronnie, gdyż objawia się nie indywidualnie ale jako wola społeczeństwa.

Wola jednakże ludzka może być studjowaną w sposób zupełnie pozytywny i w indywidualnych jéj objawach. Statystyka pod tym względem zawiera w sobie nieocenione materjały, chociaż głównym jéj błędem było, że dotąd używaną była wyłącznie tylko dla studjowania negatywnych jéj objawów. Drugim także błędem tego rodzaju studjów statystycznych jest, że ci, którzy się im oddali (oprócz Engla i Warrentrapa), uderzeni regularnością objawów, czas trawią napróżno na chęci dowiedzenia a priori znanego pewnika a raczéj więcéj niż pewnika, gdyż podstawy pewników, to jest zdania nil sine causa, zapominając, że zdanie to jest warunkiem każdego poznania i każdego istnienia i że zawsze i wszędzie z podobnych przyczyn muszą podobne następować skutki.

Nietylko psychologja jako nauka o duchowych funkcjach człowieka, ale także i fizjologja zajmują się zmysłami i ich działaniem; objaśniając nam poznanie, objaśnia także i działanie rozumu a tém samém służyć musi filozofji w ścisłém tego słowa znaczeniu, i to nietylko na wyobrażenia bardzo głębokie i skomplikowane, ale nawet na te, które należą do elementarnéj logiki. Dotąd na przykład powtarzało się zawsze, że poznajemy w dwóch formach tylko, to jest albo dedukując sobie wiadomości z form rozumowych to jest a priori, jak w matematyce, albo téż za pośrednictwem zmysłowego doświadczania a posteriori; tymczasem anatomja ucha i fizjologja słuchu przekonywa nas, że nuty muzykalne poznajemy w sposób, który właściwie nie może być nazwany ani a priori ani a posteriori, gdyż właściwie to, co słyszymy, słyszymy przez pośrednictwo naszych własnych instrumentów muzycznych, które odpowiadają wszystkim muzykalnym instrumentom i że, jeżeli nie mamy wrodzonych idei, mamy za to wrodzone tony muzyczne.

Dotychczas anatomja ucha a przez to i fizjologja słuchu znaną była bardzo powierzchownie. To, co było znaném w uchu, odpowiada zaledwie temu, czém w instrumentach muzycznych są tak zwane skrzynie harmonijne, gdyż bębenek, młotek, kowadło, kosteczka która się przy nich znajduje, strzemię i ślimak mają zupełnie to znaczenie, co skrzynia przykrywająca strony w fortepjanie. Właściwy przyrząd słuchowy stanowią drobne ciała krystaliczne, znajdujące się w labiryncie pomiędzy przedłużeniami nerwu akustycznego, kamienie słuchowe a szczególniéj tak zwany organ, odkryty niedawno przez margrabiego Corti. Przyrząd ten składa się ze stron mikroskopijnych, których dotąd do 3,000 narachowano. Działanie kamieni słuchowych (otobitów) nie jest dotąd dostatecznie objaśnione, ale za to całe działanie organu Conti'ego nietylko zostało zbadaném przez poszukiwania Helmholtza, ale każdy je łatwo zrozumieć może.

Znanym jest fenomenem w akustyce, że gdy struna wydająca ton dany wibruje w bliskości drugiego instrumentu, wydającego ton podobny, przyprowadza go do wibracji. Podobnie głos ludzki silny i dźwięczny może wprowadzić w wibracją nietylko struny ale przedmioty szklane wydające ton podobny. Zdarzały się często wypadki, że silny baryton tłukł tym sposobem szyby i szklanki.

Zjawisko to akustyczne, zwane sympatją tonów, polega na bardzo prostém prawie mechaniczném. Fale powietrzne, utworzone przez wibracją pierwszego ciała dźwięcznego, idą od niego w kołach współśrodkowych. Gdyby fale te napotkały jakie ciało twarde znacznéj rozciągłości a szczególnie formy krzywéj, wklęsłéj powierzchni, odbijając się powiększyłyby siłę głosu, a gdyby przedmiot odbijający fale był w znacznéj odległości, fale odbite, nie mieszając się z pierwotnemi, wydałyby echo; naturalną jest rzeczą, że jeżeli fale te spotkają przedmiot zdolny do podobnéj wibracji jak ta więc, która je wywołała, samby został przez nie poruszony.

Otóż na zasadzie téj sympatji tonów każdy ton usłyszany w naturze, przeszedłszy ową skrzynię harmonijną, cały aparat akustyczny w naszém uchu się znajdujący, przeznaczony do wzmacniania fal dźwięcznych, wynajduje sobie z ścisłością matematyczną w organie Corti'ego tę stronę, która mu odpowiada i wprowadzając ją w wibrację, daje nerwowi akustycznemu nowy koncert, jemu tylko samemu dostępny.

Niespodziewane to odkrycie rzuca niesłychane światło na punkt zetknięcia tak zwanego świata materjalnego z tak zwanym duchowym.

Naprzód potęga muzyki zależeć musi na sąsiedztwie z mózgiem przyrządu Corti'ego. Przyjemne lub nieprzyjemne wrażenia, których teraz nie mamy zamiaru rozbierać, odbierane za pomocą owego instrumentu o trzech tysiącach stron, budzą w nas pewne uczucie, które fantazja tłomaczy w sposób podobny do wrażeń we śnie odbieranych.

Już z téj tylko strony uważane odkrycie Corti'ego i Helmholtza musi mieć niesłychanie ważne znaczenie dla psychologji teoretycznéj i stosowanéj w psychiatrji i pedagogji, ale na tém się nie ogranicza jego doniosłość filozoficzna. Ważne są także dla filozofji odkrycia Helmholtza co do harmonji, gdyż muszą sprowadzić pewne zmiany w przyjętych poglądach na estetykę, ale w téj chwili chodzi nam tylko o wpływ ich na teorją poznania i na logikę.

Jeżeli przyrząd uszny powtarza nam w głowie każdy dźwięk słyszany, zatém dźwięki te są więcéj jeszcze pracą naszego organizmu, aniżeli inne wrażenia zmysłowe i o nutach muzycznych można użyć wyrażenia świętego Tomasza o ideach, że są non quid intelligitur sed quo intelligitur i nie można do nich stósować znanych formuł poznania a priori lub a posteriori.

Nie jest to wreszcie jedyny wypadek, w którym nie wystarczają te formuły, bo nie mogą być także stósowane, gdy poznanie jakiéj prawdy czysto rozumowéj ma miejsce w sposób zmysłowy, gdy graficznie przedstawimy jaki pewnik matematyczny na przykład, że całość jest równa sumie wszystkich części.

Poznanie następuje wtedy już nie przez indukcją z wrażeń zmysłowych za pośrednictwem prawa przyczynowości, ale przez to, że rzecz poznawana jest zupełnie identyczną z rozumem lub jego narzędziem. W oczywistéj prawdzie matematycznéj rozum się widzi bezpośrednio przedstawionym i dla tego poznaje nie przez dedukcją jak w sądach a priori, nie przez indukcją jak w sądach a posteriori, ale właściwie poznaje wtedy sponte sua, jeżeli nam wolno użyć tego neologizmu filozoficznego.

W nutach muzycznych i oczywistości matematycznéj działanie to rozumowe jest widoczniejsze i dla tego je w pierwszym rzędzie umieściliśmy, nie wyczerpują wszakże wszystkich wypadków, w których rozum sponte sua sądzi, ale należą do tego rzędu wszystkie prawdy bezwzględne, jakie rozum poznać jest w stanie. Nazywamy je zaś prawdami bezwzględnemi, gdyż tylko przy nich następuje rzeczywista identyczność rozumu z rzeczą poznaną, a zatém sąd tylko z punktu widzenia, czy rzeczywiście następuje adaequatio rei et intellectus.

Wszystkie sądy estetyczne i etyczne są tego rodzaju. Sąd zawsze powstaje z powodu jakiegoś przedmiotu lub zdarzenia i to go wyróżnia od sądów a priori, lecz rozum sam z siebie zdanie dedukuje i to go wyróżnia od sądów a posteriori, dla tego też nie zdaje się nam, by można lepiéj wyrazić formę tę sądu jak wyrazem sponte.

Rozbiór pytania, jakim sposobem rozum może mieć zdolność do wydawania sądów podobnych, przechodzi już granice téj pracy, ale jest zapewne najpiękniejszém zadaniem filozofji, gdyż rozwiązanie go daje nowe podstawy etyce i estetyce, których bez zaprzeczenia potrzebują.

Nie brak zapewne ani głębokich moralistów, ani wykwintnie czujących krytyków sztuki, ale nie można powiedzieć, żeby tak etyka jak estetyka, które zapewne wspólne podstawy mieć muszą, miały już wyrzec ostatnie słowo. Co do etyki, zadanie jéj ma jeszcze inne znaczenie oprócz chęci zadowolenia filozoficznéj ciekawości.

Wprawdzie głównem zadaniem etyki jest dedukować z praw rozumu, jak człowiek powinien postępować, i Ewangelja, święty Paweł, św. Augustyn, Pascal, Spinoza i Kant odpowiadają tym warunkom; ale pierwszym brakuje krytycznego i naukowego na świat zewnętrzny poglądu, drugim znowu, to jest Spinozie i Kantowi brakuje wszelkiéj wspólności uczuć z zwykłymi śmiertelnikami; świat ich to świat bohaterów myśli, który zapewne wznosi i uczucia, ale do którego nie każdemu się podnieść można. Oprócz tego Kant ma jeszcze tę niedogodność, że robi rozwód zupełny między rozumem, twórcą myśli, a rozumem, prawodawcą czynu, a co więcéj, działanie ostatniego robi zależném od prawd przez pierwszego nie uznawanych. Z stanowiska ściśle teoretycznego widzieliśmy już, jak najwyższa prawda myśli staje się zarazem najwyższą zasadą woli.

Jesteś przedmiotem między przedmiotami i różnisz się od nich tylko, o ile je poznajesz, jest formułą téj zasady, która da się znowu wybornie pogodzić z tém, co Kant nazywa postulatami praktycznego rozumu. Ten przedmiot między przedmiotami można sobie wyobrazić jako istotę wiecznie za swoje czyny odpowiedzialną i mogącą działać według praw rozumu; ostatniemu można nadać znaczenie i pierwszéj przyczyny, ale zdaje nam się, że najwyższa zasada na tém straci, gdy zamiast być uważaną za bezwzględną rozumową konieczność, staje się skutkiem czyjéjś woli osobistéj.

Oprócz tego wszyscy oddający się naukom przyrodzonym niechętnie przyjmują taki dualizm filozoficzny, którego wymogi nie mogą wytrzymać zdrowéj krytyki.

Cechą wszystkich prawd moralnych powinno być ich bezwzględne znaczenie; tymczasem przedstawiając je sobie jako wynik jakiéjś woli duchowéj, stawia się je zupełnie zależnemi od istnienia przepaści pomiędzy światem duchowym a materjalnym.

Nie ma jednakże żadnéj rozumowéj konieczności, żeby przepaść ta kiedy wypełnić się nie miała, a wtedy odkrycie na przykład samorodztwa (generatio spontanea) zrujnowaćby musiało cały gmach podobnéj etyki, jak go już zachwiała teorja Darwina. Mówimy zachwiała, gdyż nie możemy powiedzieć, ażeby burzyła już zasadniczą różnicę między światem duchowym a materjalnym, gdyż jeżeli z cielesnego połączenia jednéj pary może powstać dusza nieśmiertelna, dla czegóżby nie miała powstać, gdyby na powstanie téj pary składać się miał nieustanny postęp istót organicznych.

Dla tego też przyjęcie teorji Darwina nie znaczy wcale koniecznego przyjmowania dogmatów materjalizmu, owszém materja ta, dająca niesłychanie syntetyczny pogląd na istnienie, oddala od płytkiego atomizmu i gminnego realizmu a nawet objaśnia wiele bardzo starych i bardzo idealistycznych poglądów, jak na przykład estetyczną teleologją Kanta lub dotąd tak ciemną i w inny sposób niezrozumiałą teorją Platona o ideach.

Wszystkie te przedmioty stanowią zadania filozofji naszych czasów; nie mamy zamiaru ich rozwiązywać, zostawiając to bieglejszym piórom lub głębszéj rozwadze, ale chodziło nam tylko o wykazanie, że filozofja żyje jeszcze i ma prawa do życia i żywioły do rozwoju a nawet do zachowania supremacji nad innemi naukami.

Supremacja ta jednakże, żeby była uzasadnioną, musi się zamknąć w właściwych sobie granicach. Nadewszystko filozofja nie może nigdy głosu zabierać w kwestji faktów, ale zawsze tylko w kwestji metody, gdyż tylko wykształcenie filozoficzne nadaje możność użycia w każdéj nauce metody jéj odpowiedniéj, zabieranie zaś głosu w kwestjach odnoszących się do faktów poniża filozofję i zamienia ją na scholastykę, gdyż naśladuje ją wtedy w jéj sporach z Galileuszem.

Wspólność ta niektórych filozofji z scholastyką odstrasza nawet od filozofji ludzi pracujących na polu prawdziwie naukowém, a tylko niedostatecznemu wykształceniu filozoficznemu przypisać należy z jednéj strony często słyszane apologi wieków średnich, z drugiéj dążności grożące powrotem prawdziwego barbarzyństwa, jakie widzimy w teorji u zachodnich sąsiadów w popularnych książeczkach Büchnerów i Moleschotów, a u wschodnich w praktyce, to jest w sektach i tajnych związkach, mających zasady, przy których komuna paryzka byłaby arkadyjską sielanką.

Ale jak trudno sobie wyobrazić naturalistę, matematyka, prawnika bez filozoficznego wykształcenia, tak znowu niepodobieństwem jest wyobrazić sobie w naszych czasach kogoś, którýby był tylko filozofem.

Jeżeli filozofja ma za przedmiot myśl człowieka, myśl tę przedewszystkiém wypełnić należy, a przy obecnym stanie nauk śmiesznym być tylko może ktoś,

mający do wszechwiedzy pretensje. Do niczego téż zatém w filozofji dojść nie można, jeżeli się nie weźmie za punkt wyjścia jakiéjś nauki pozytywnéj. Z takiego to braku materjału myślowego wypłynęły szkoły filozoficzne niemieckie po Kancie, które i na nasze umysły wpływ szkodliwy wywarły. Jankiel z Leiby i Siory Niemcewicza jest wyborną karykaturą podobnego filozofa.

Ktoś nas może zagadnąć: Któż wtedy zajmie się i rozwijać będzie filozofję? — ale odpowiedź na to bardzo prosta, że ją rozwijać będą prawdziwi myśliciele, a nie ma zapewne filozofji, któraby uczyła, jak nim zostać, ale za to prawdziwy myśliciel będzie nim zawsze, nawet wtedy, gdy badać będzie życie mikroskopijnéj roślinki lub czytać starą kronikę ojczystego kraju.

Wycieczka do Morskiego Oka
przez Zawrat.

Napisał

Walery Eljasz.

(Dokończenie).

Zajęty rysowaniem brzegu Morskiego Oka, o ile go widzieć mogłem z pośród mgły, w pół godziny spostrzegłem małe wznoszenie się jéj po nad powierzchnią wody, co mnie w radość wprawiło. Puściliśmy się zaraz brzegiem zachodnim jeziora dla obejścia go naokoło i dla dostania się do Czarnego Stawu, który się wznosi w przeciwległéj stronie 526 stóp wyżéj nad Morskiém Okiem.

Ścieżka dzika wiedzie po złomach granitu pośród kosodrzewiny, zawalają ją tu i owdzie powywracane burzą drzewa limbowe, tak że korzenie sterczą na brzegu a wierzchołki nurzają się w wodzie. Przykro było patrzeć na marnowanie ślicznych i osobliwych drzew, wiedząc, jak są poszukiwane do wyrobów i drogo płacone. Limba, rodzaj cedra, na pierwsze wejrzenie ma pozór sosny, ale od niéj piękniejsza, wydaje szyszki, z których orzeszki dobre są do jedzenia.

Zbliżając się ku południowemu brzegowi Morskiego Oka, podziwialiśmy cudowny wodospad, toczący wodę w kaskadach z dolinki po za kończystą turnią, nazwaną Mnichem. Woda spadała znacznym strumieniem jak po deszczach.

Południowy brzeg Morskiego Oka zasypują piargi, t. j. usypiska żwirowe, powstające z kruszenia turni Mięguszowskich, które piętrzą się tu strasznie przepaścisto i niebotycznie. Im daléj szliśmy, tém bardziéj rozpogadzało się, z kotliny jednak, gdzie się mieści Czarny Staw, jakby z otchłani wysuwały się chmury. Zbliżyliśmy się po całogodzinnéj drodze po pod olbrzymi wał, kryjący za sobą właśnie nadmieniony Czarny Staw. Ścieżka do niego wiedzie wśród trawy, mchu, po głazach lub litéj skale opodal potoku spadającego z łoskotem i szumem po skałach, nim ginie w masie wody Morskiego Oka. Pół godziny idąc pod górę przybyliśmy na grzbiet, gdzie w złomie granitu tkwi z żelaza ulany gruby krzyż, ufundowany na pamiątkę bytności tu Grzegorza Zieglera, biskupa tynieckiego. Naraz odsłonił nam się Czarny Staw. Zalega on znaczną przestrzeń, bo 37 mrg. 639 sąż. kwadr. w skalistéj kotlinie na wysokości 4,986 stóp. Głębiny jego niezmierne przenoszą cztery razy tonie Rybiego jeziora. Wedle pomiarów Staszica Czarny Staw liczy 583 st. od powierzchni wody do dna. Zachwycił nas Czarny Staw swoją pięknością, wszystko tu składa się w całość tworzącą uroczą harmonję. Rozmiary olbrzymie, kształty dzikie, fantastyczne, pokryte barwą mglistą, brak zieloności a na odartych skałach tkwiące brudne płaty wiecznego śniegu, pustota i cisza, lekkim szmerem potoku odpływającego do Morskiego Oka urozmaicona, wszystko to razem wzięte czyni na umyśle niezmierne wrażenie. Poi się dusza urokami przyrody a nasycić się nie może, bo się coraz nowe piękności odkrywają; takie bogactwo wdzięków dziewiczéj natury zdolne wzruszyć i zachwycić nawet zobojętniałą na wszystko istotę. Pomimo to bardzo mało podróżnych zwiedza Czarny Staw, zadawalniając się poznaniem Morskiego Oka. Odkąd tratwa nadgniła, tém mniéj jeszcze puszcza się osób do Czarnego Stawu, bo turystom obojéj płci za ciężko się wydaje okrążać pieszo Morskie Oko. Dzikie turnie Rysami zwane (7,309′) w krąg otaczają Czarny Staw. Od południa, zdaje mi się z wejrzenia, nie da się staw obejść brzegiem, bo się w wodzie spadzisto nurzają skały. Nadzwyczaj zajmującą jest różnica wrażenia, gdy wpatrujemy się w Czarny Staw i jego otoczenie, a odwrócim się by spojrzeć po nad Morskie Oko. Wyda się ono rozkoszne, wesołe, strojne, w obec ponurego, szarym, gołym granitem otoczonego Czarnego Stawu, gdzie zdaje się wszystko zamarło, na wieki zamilkło; bojaźń jakaś niewytłómaczona ogarnia człowieka, iż korzyć się przychodzi przed wszechmocą Boga. Krzyż, godło chrześcijańskie, pamiątka ofiary Chrystusa, nie może mieć fantastyczniejszego tła nad to, jakie tworzy to właśnie miejsce.

Za naszéj tu bytności ciekawém było widzieć, jak chmury, które wiatr spędzał z po nad Czarnego Stawu, roztrącały się o turnie Mięguszowieckie. Widoczna była walka w powietrzu, w dolinie Białki włóczyły się chmury w różnych kierunkach, wpędzane wiatrem poniżéj szczytów w kotliny, co nas nagliło do powrotu.

Tym razem udaliśmy się wschodnim brzegiem Morskiego Oka ścieżką nieco wygodniejszą, lecz poprzerzynaną licznemi wtedy ściekami deszczowemi, a w miarę zbliżania się ku ujściu Białki natrafialiśmy na coraz gorsze moczary.

Miejscami czerniła się głębia od samego brzegu, na płytszéj wodzie widać było mnóstwo pływających pstrągów; zawalały nam drogę powalone limby, w korzeniach sterczących tkwiły głazy razem ruszone z posady.

Przed 10 godziną byliśmy już na miejscu, zkąd wyruszyliśmy przed trzema godzinami dla obejścia Morskiego Oka; kilka chwil jeszcze zeszło nam na obejrzeniu do reszty jego wspaniałości, gdy mgła wszystko nam zakryła. Zimno wilgotne dokuczać poczęło, nadzieja powtórnego odsłonienia się widoku znikła, nie było już więc co dłużéj robić. Rzuciwszy pożegnawcze wejrzenie na widny z pośród mgły brzeg sławnego jeziora, ruszyliśmy z powrotem, dziękczyniąc Bogu za szczególną opiekę nad nami, bo właśnie w najważniejszych chwilach odsłaniało się wszystko, co było najpożądańszego do widzenia, a nawet noc przeszła bez deszczu wśród słotnéj pory. Udaliśmy się najprzód do naszéj koliby, gdzie przy rzeczach młody Wala spoczywał, ojciec jego zajął się zgotowaniem herbaty, bośmy tu postanowili obiad spożyć, nie wiedząc, czy w drodze znajdzie się sposobniejsze miejsce. Na wycieczkach tatrzańskich herbata jest nieoszacowanym napojem: orzeźwia po strudzeniu, ogrzewa po zziębnięciu, służy za lekarstwo przeciw następstwom

z przemoknienia, syci pragnienie najwyborniéj a nie przeciąża, choćby się jéj jak najwięcéj piło. Przewodnik Wala jest wielkim lubownikiem herbaty a przeciwnikiem wody i ma w tym względzie słuszność, zważywszy, jak podróżni dla ochłodzenia się lub zasycenia pragnienia ciągle piją wodę, z czego łatwo można zachorować, przeziębiając żołądek, a przytém na siłach się prędko opada. Jeżdżąc co rok do Tatr, sprawiłem sobie stósowny do wycieczek górskich przyrząd herbaciany. Składa on się z naczynia blaszanego ze szczelną przykrywką, z boku z łapką do zakładania rączki, w niém warzy się woda. W to naczynie dwukwartowe wchodzi drugie takie samo ze szczelną przykrywką, o tyle mniejsze, aby się jedno w drugiém pomieściło, służy ono za czajnik. Do tego chowa się 4 kubki blaszane wsuwane w siebie, herbata w słojku szklanym, kawałki cukru i kilka łyżeczek. Taki przybór jest do noszenia lekki, wygodny, a lada gdzie roznieciwszy ogień, bardzo prędko można mieć gotową do picia herbatę. Przewodnicy tatrzańscy umieją się z tém obchodzić, sami będąc amatorami herbaty, bardzo chętnie ją przyrządzają.

Koło 11 godziny przed południem wyruszyliśmy ze wszystkiém z naszego obozowiska, udając się do Zakopanego zupełnie inną drogą, przez polanę Waksmundską. Jest to najdogodniejsza i najkrótsza droga piesza od Rybiego do Zakopanego, ale w całéj swéj rozciągłości nie przedstawia osobliwości tatrzańskich. Droga ku Roztoce prowadzi ciągle na dół po kamieniach, miejscami po trawniku, po okrąglakach, któremi niegdyś gorsze miejsca wyłożono dla przejazdu, ale dziś belki pogniłe pozapadały się, stercząc z dziur, a wśród nich płyną strugi, które wydostawszy się na drogę, zalewają ją, nim uchodzą do Białki. W czasie pogody na téj drodze od wschodu i południa widać piętrzące się turnie spizkie, szczególnie od ujścia doliny Białéj ku Polskiemu Grzebieniowi, ale tym razem, gdyśmy tędy podążali, mgła nam wszystko zasłaniała. Spotkaliśmy kilka osób udających się do Morskiego Oka; w towarzystwie tém była panna S. z Warszawy. Żałowaliśmy ich, wiedząc, jaki ich zawód spotka, a tém bardziéj, gdyśmy się dowiedzieli, że siostra panny S. z swym ojcem udała się przez Roztokę ku Siklawie i do Pięciu Stawów z przewodnikiem. Musieli oni wyżyć biedy co się zowie, sądząc z tego, co nas spotkało o tym samym czasie na wygodnéj drodze i to w powrocie już do chaty. Deszcz zaczął kropić i z daleka doleciał nas grzmot; w takiéj porze pożegnaliśmy towarzystwo spotkane, życząc im szczerze pogody.

Przyspieszyliśmy kroków, bo nas to nie męczyło, idąc ciągle na dół aż do Roztoki. Tu od szałasów przybiegł syn gospodarza, u którego mieszkaliśmy w Zakopanem; przybył tu wioząc podróżnych ku Rybiemu. Od niego dowiedzieliśmy się o niepokoju rodziny naszéj pozostawionéj w chacie, bo troszczono się bardzo o nas z powodu zaszłéj burzy i słoty. Deszcz się wzmagał, z trudnością przyszło nam przebywać rozlane wody koło potoku, z wielkim hałasem płynącego z Roztoki do Białki. Ledwieśmy go po dziurawym moście przeszli, deszcz się zamienił w ulewę. Gdy nas świerki od deszczu przestały chronić, żałując czasu na wyczekiwanie, puściliśmy się daléj. Minęliśmy polany po zejściu z drogi jezdnéj, dążąc w górę podnóżem Wołoszyna. Gdy każda gałąź, przesycona wodą, za najmniejszém trąceniem moczyła nas nielitościwie, staraliśmy się ich unikać, lecz nadaremnie, bo dróżyny ciasne gęsto są zarośnięte drzewami i krzewami. Odzież nam ciężyła coraz bardziéj w miarę większego moknienia, szliśmy jak w łaźni, bo z powodu grubego okrycia i drogi dość bystro wiodącéj w górę pot nas oblewał. Dał nam się we znaki nieznośny Wołoszyn, bo dwie godziny minęły od wyjścia z Roztoki, nim dosięgliśmy jego grzbietu schodzącego ku Białce. Deszcz ustał, dla odpoczynku weszliśmy do pustéj szopy na polanie Wołoszyna, bo w drodze niepodobieństwem było usiąść dla wilgoci.

W czasie spinania się pod górę wśród ciągłéj mgły, na roztwartém miejscu ukazały nam się wśród chmur wierzchołki szczytów Spizkich jakby nadpowietrzne góry. Ujrzeliśmy Gierlacha, najwyższy szczyt w Tatrach (8,414'), daléj poszczerbiony grzbiet Polskiego Grzebienia (6,933'), wierchy Zimnéj Wody (6,595'), Lodowy Szczyt (8,324') i okoliczne turnie. Było to cudowne zjawisko, lecz trwało krótko, gdyż zaraz zasunęły je chmury mgłą i znowu nic nawet na kilkanaście kroków nie było widać.

Do doliny Waksmundskiéj przyszło schodzić na dół po olbrzymich kępach mchu i borowin, wśród gęstych krzewów; mnóstwo poziomek i borówek nęciło do zbierania, pożywaliśmy te dary Boże, w których niedźwiedź również smakuje; ale czas naglił, więc rwaliśmy gałązki i idąc obieraliśmy do jedzenia jagody. Przybywszy nad potok Waksmundski, napróżno szukaliśmy przejścia dogodnego po wystających z wody kamieniach, bo po deszczu znacznie więcéj wody przybyło, wyżéj sterczące głazy, oblewane rozpryskującą się wodą, nie dawały więc pewnéj podstawy a przytém do skoków mieliśmy za duże odstępy; nie było zatém innéj rady jak puścić się w bród i to jeszcze odszukując mniéj pod wodą zanurzonych kamieni. Po takiéj przeprawie znowu trzeba było iść pod górę podnóżem Wielkiéj Koszystéj. Zapewne niejednemu już podróżnemu w Tatrach przydarzyło się to z obuwiem, co nas spotkało. Przez wydarte dziury woda przepływ miała, a kamienie, korzenie i gałęzie suche raniły nam ciało. Chociażby bowiem kto buty miał z najpyszniejszéj skóry, po przejściu takiéj drogi, jaką jest przez Zawrat do Morskiego Oka, w czasie słoty, gdzie się brnie przez potoki, pośród dzikich zarośli po suchych patykach, a potém wysusza się je przy ogniu, — jakiejże pociechy z nich spodziewać się można na drugi dzień? Trzeba mieć sznurki przy sobie, aby niemi obuwie wiązać, gdy po kilkogodzinnym marszu pękną, i stąpać z wszelką ostrożnością, by nóg nie poranić.

Po 3 godzinie zdążyliśmy na polanę Waksmundską wśród dotkliwie ziębiącéj mgły. Nie chciało nam się zaprzątać gotowaniem herbaty, gdy nas tylko kilka godzin drogi dzieliło od chaty; zażądaliśmy mléka, dano nam takiego, jakie mieli wówczas, na pół słodkie, na pół kwaśne, więc nie było z niego pociechy, ale zapłacić za nie kazali sobie porządnie, bo z kogóż to zedrzeć jeżeli nie z gości? Jużto pod tym względem rzadko znaleźć uczciwość po szałasach; zdarzało mnie się jednak w niektórych miejscach spotkać osadę szałasową, co się z gośćmi sumiennie obchodziła i to zwykle przywiązuje się tradycyjnie do miejscowości. Wielu z gości mogło się o tém przekonać na hali Pyszniańskiéj, na Miętusiańskiéj, Gąsienicowéj i na mniéj uczęszczanych miejscach, jaka tam gościnność, serdeczność w obec chciwości bezwstydnéj w szałasach zajmowanych przez Białczan na Łyséj, u Pięciu Stawów, u Morskiego Oka, to znów w Strażyskach i innych miejscach gospodarzy zakopiańskich. Białczanie nawet zyskali sławę na Podtatrzu z chciwości bez granic i z braku pojęcia o moralności.

Z tą samą mgłą wyruszyliśmy z polany Waksmundskiéj, z którą tu przybyliśmy, udając się lasami ku Jaszczurówce. Mając za przewodnika Walę nie obawialiśmy się téj drogi, w razie bowiem jeźliby się pobłądziło, użyć można przeprawy niebezpiecznéj i dokuczliwéj. Całą przestrzeń od Jaszczurówki do podnóża Koszystéj, gdzie jest polana Waksmundska (4,354') wynosząca 3 godziny drogi, zajmuje las ciągły, przerwany tylko w kilku miejscach małemi polankami, potokami płynącemi z doliny Pańszczycy i Gąsienicowych Stawów. Dróżyn krzyżuje się dużo, co naturalnie sprzyja zbłądzeniu; miejscami nie ma ani śladu ścieżki, brnie się więc po mchach i borowinach, nic nie widząc na około oprócz

nieba nad sobą, jeźli go jeszcze gałęzie nie zasłonią. Przydarzyło mi się już dwa razy, że tędy wraz z całém towarzystwem mojém wiódł mnie przewodnik nie obeznany dobrze z tą drogą. Przebywszy szczęśliwie tę przestrzeń dziękowaliśmy Bogu, że się skończyło na lekkich tylko pokaleczeniach i na potarganiu odzieży. Z każdego drzewa sterczały suche gałęzie jak kołki ostro zastrugane, grożące wykłuciem oczów lub zranieniem twarzy, dla zabezpieczenia więc musieliśmy trzymać ręce wzniesione łokciem do góry; podczas tego przychodziło brnąć po powierzchni wielkich mchów, korzeni drzew, zapadając się często głęboko, przyczém bardzo łatwo można było nogę złamać lub zwichnąć. Tym razem pod przewodnictwem Wali nie przyszło nam przedzierać się przez takie gąszcze i nie mieliśmy żadnych tego rodzaju kłopotów, ale jakby dla zrównoważenia biedy słota nam niezmiernie dokuczyła.

Zaledwie zeszliśmy z drogi jezdnéj, co wiedzie z polany Waksmundskiéj do wsi Zacichłego, począł padać deszcz, który wkrótce zamienił się w ulewę. Potok Sucha Woda szumiał wezbrany, przeszliśmy go z trudnością w bród, utrzymując równowagę kijami. Drożynami wśród lasu płynęła woda jak potoki, z każdego wzniesienia schodziło się na dół z obawą, aby pośliznąwszy się nie upaść i nie namaścić się błotem. Przemokliśmy najzupełniéj do suchéj nitki, woda z sukien naszych ściekała jak z rynien, kapelusze przemokłe przepuszczały wodę, że ciekła po głowie, po twarzy, za kołnierz, gdzie jéj dogodniéj było. Wala uczuwał coraz większe ciężenie guni, bo się wodą przesycała. Pojmie nasze położenie ten, komu przypadło kiedy iść półtrzeciéj godziny wśród ciągłéj ulewy i to po górzystéj drodze i lesistéj; a jednak nadzieja rychłego oswobodzenia się od tych dolegliwości ożywiała nas, że wśród żartów mijał czas znośnie. Koło 6 godziny usłyszeliśmy szum potoku, który obraca tartak w Jaszczurówce, poczém zaraz wyszliśmy z lasu. W kilka minut znaleźliśmy się pod dachem tamtejszéj karczmy, gdzie nas wielka spotkała niespodzianka. Żona moja, z siostrą pozostała w Zakopaném, przewidując nasz opłakany stan wśród słoty, najęła podwodę, zabrała bieliznę i odzież świéżą, parasole i derki do okrycia i przybyła przed nami do Jaszczurówki. Cóż to za radość była dla nas naraz powitać rodzinę, znaleźć schronienie i suche ubranie! Przebrawszy się w gościnnéj izbie zupełnie na nowo od stóp do głowy, posileni na duchu i ciele wsiedliśmy na wóz i ruszyli ku domowi przy największém zadowolnieniu i najlepszym humorze. Droga, którąśmy jechali, jest niegodziwa, kamienista, tak że w innym razie nie zniósłbym podobnéj jazdy, przenosząc pochód pieszo; wówczas wydała się nam lepszą, zwłaszcza minąwszy kuźnice. W Zakopanem przejeżdżając koło chat zamieszkałych przez gości, znajomi witali nas z pożałowaniem, sądząc, żeśmy nic z całéj wyprawy nie widzieli a nażyli się biedy do sytu. W końcu powitali nas nasi gospodarze, również skłopotani naszym losem. Wieczór w chacie zszedł wesoło na opowiadaniu przygód, doznanych w naszéj awanturniczéj wycieczce.

Listy z Paryża.

I.

(Koléj żelazna za pomocą statków między ojczyzną Voltaira i krajem Darwina. — Darwin nie jest ojcem darwinizmu. — Goethe i Lamarck. — Histoire de la Zoologie par F. Hoefer. — Philosophie zoologique de Lamarck. — Nietolerancja Polaków dla darwinizmu).

Anglicy i Francuzi od dawna przemyśliwali nad tém, jakby połączyć stały ląd Francji z Wielką Brytanją. Za rządów Napoleona III zamierzano wykopać tunel pod cieśniną kaletańską, przez który poprowadzonoby koléj żelazną; ale zaniechano zamiaru dla wielu niedogodności a głównie z powodu ogromnych kosztów, jakie pociągnęłoby za sobą zbudowanie takiéj drogi. Dzisiaj powzięto inny pomysł, wykonanie którego daleko jest łatwiejsze i tańsze. Na posiedzeniu tutejszéj Akademji Umiejętności z dnia 28 lipca, pan Dupuy de Lôme, sławny budownik okrętów pancernych, podał myśl zbudowania morskich pociągów, przeznaczonych do zaprowadzenia szybkiéj i łatwéj komunikacji pomiędzy Francją i Anglją. Uczony budowniczy postanawia przewozić okrętami pociągi towarowo-osobowe. Tym sposobem uniknięto by kosztownego przeładowywania towarów, oraz wsiadania i wysiadania osób na odjezdném i przyjezdném statków przewozowych. Rzecz jasna, iż okręty przeznaczone do pomieszczenia pociągów kolei żelaznéj, powinny być głębokie i wielkich rozmiarów, a przeto posiadać należy odpowiednie porty, do których mogłyby zawijać. Na wybrzeżu angielskiém port Dower odpowiada żądanym warunkom, lecz na wybrzeżu francuzkiém nie znajdujemy właściwéj przystani. Wypada wprzódy zbudować takową; pan Duouy de Lôme zbadał port kaletański, który da się zamienić na rodzaj dworca morskiéj kolei żelaznéj, opatrzonego w most, wchodzący w morze, po którym pociągi będą wjeżdżały na statek.

Statek zbudowany na przyjęcie pociągów będzie dźwigał 14 wagonów osobowych i 3 towarowe. Długość jego wyniesie 135 metrów na 11 metrów szerokości. Wagony będą się znajdowały pod dachem, podróżni mogą przebywać w wagonach albo w salonach, urządzonych na pokładzie statku.

Zarzucano panu Dupuy de Lôme, że okręt nie udźwignie takiego pociągu. Uczony budowniczy odpowiada na ten zarzut rachunkiem, przyjmując 225 tonów na wagon osobowy i 300 tonów na wagon towarowy. Wiadomo zaś, że statki przewozowe, odbywające podróż do Indji Wschodnich i do Ameryki, dźwigają ładunek wynoszący po kilka tysięcy tonów. Z maszyną o sile 3,200 koni kilogrametrycznych, nowe okręty pociągowe będą mogły odbywać drogę z Balais do Dower w godzinę i 7 minut podczas pięknéj pogody, a w półtoréj godziny podczas niepogody.

Pan Dupuy de Lôme podaje praktyczne i proste środki wprowadzania pociągów na statek i sprowadzania ich na ląd. Jedno i drugie nie zajmie więcéj nad dziesięć minut czasu.

Tak tedy ojczyzna Voltaira wejdzie w blizkie stósunki z krajem Darwina, na którego jedni rzucają klątwę jako na heretyka, a drudzy wielbią w nim twórcę nowoczesnéj historji naturalnéj. Wszakże jeźli mamy wierzyć Dr. Hoeferowi, który niedawno ogłosił „Historją Zoologji“ w Paryżu u Hachetta, Darwin nie jest ojcem tak zwanego darwinizmu, jak Ameryk Wespuciusz nie odkrył Ameryki. Na wywód rodzajów zwierzęcych pierwszy wpadł Lamarck, współczesny Goethemu, który wygłaszał te same teorje, co dzisiaj głosi Darwin.

Dwa są rodzaje uczonych: jedni trzymają się drogi utorowanéj przez poprzedników i rozszerzają zakres wiedzy nowemi odkryciami, drudzy opuszczają stary gościniec, zrywają z tradycją i zasiewają nowe ziarno dla przyszłości. Lamarck należy do jednego i do drugiego rzędu uczonych. Swojemi opisami botanicznemi i zoologicznemi zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy współcze-

snymi sobie naturalistami, a jednak filozoficzne jego poglądy o istotach żyjących nie znalazły wtedy uznania, a dopiéro dzisiaj nabierają one znaczenia w historji naturalnéj.

Monet, kawaler de Lamarck, urodził się w Bazentin pod Bapaume dnia 1 sierpnia 1741 roku. Za młodu służył wojskowo w armji księcia de Broglie, w któréj zostawał do r. 1763 czyli do końca wojny siedmioletniéj. Opuściwszy wojskowość zamieszkał w Paryżu, a walcząc z niedostatkiem poświęcił się naukom przyrodniczym. Ogłosił rozprawę o „Wyziewach atmosfery“ i napisał „Florę francuzką.“ Za te dwie prace został akademikiem w r. 1779. Po śmierci Buffona wszedł do grona profesorów, przywiązanych do ogrodu botanicznego w Paryżu. Zajął pierwsze miejsce między botanikami, kiedy wybuchła rewolucja. Odłożywszy na bok botanikę, Lamarck wziął się do zoologji. Jemu to winniśmy podział zwierząt na kręgowe i bezkręgowe. Poprzestając na skromném utrzymaniu, nie przyjął w r. 1809 katedry nauk przyrodniczych, nowo założonéj w Sorbonie, bo nie czuł w sobie dosyć sił do oddania się studjom, by godnie zająć tę katedrę. Straciwszy wzrok na starość, umarł dnia 18 grudnia 1829 r., mając lat 88.

Lamarck wyraził swe poglądy na przyrodę żywą w dziele p. n. „Philosophie zoologique“, które po raz pierwszy wyszło w r. 1809. Nowe wydanie téj rzadkiéj książki, we dwóch tomach, niedawno sporządził Karol Martins, profesor na wydziale medycznym w Montpellier. Lamarck znał wielką liczbę roślin i zwierząt, a bez téj znajomości niepodobna sobie urobić dokładnego wyobrażenia o świecie żywym. W szczegółowych opisach rodzajów roślin i zwierząt, Lamarck uderzony bywał ich różnicą, ale jeszcze więcéj zachwycało go wzajemne między niemi podobieństwo. Doszedł on do trzech pewników:

1) Że rozmaitość rodzajów pochodzi od wpływu czynników zewnętrznych;

2) Że w królestwie zwierząt panuje zasadnicza jedność;

3) Że wszystkie gromady zwierząt musiały kolejno wyjść jedne z drugich, nakształt drzewa, w którém korzenie, pień, konary, gałęzie, liście, kwiaty i owoce są wynikiem kolejnych ewolucji tego samego ziarna.

Warunki życia roślinnego i zwierzęcego ulegały i ulegają na naszym planecie nieustannym zmianom. Przed pięciuset laty Kazimierz Wielki, król chłopów, odwiedzając Malborg, pił u Wielkiego Mistrza Krzyżaków pruskie, rodzime polskie wino, pochodzące z Winnic, które bujnie rosły nad Wisłą. A gdzież dzisiaj winnice nad tą rzeką? Winna macica już nie wytrzyma teraźniejszego klimatu w tych stronach. Pod silną zmianą warunków życia liczne zwierzęta zaginęły a inne ocalały, same na sobie także doznawszy różnych zmian, które przelały na swoje potomstwo.

Teorja Darwina u nas w Polsce napotyka licznych przeciwników między ludźmi gorliwymi o wiarę katolicką. Darwinizm swobodnie panuje w Anglji, a jednak to nie przeszkadza, że Anglicy protestanci są daleko religijniejsi od Francuzów katolików. Powstając na darwinizm, okazujemy nietolerancją, wcale niezgodną z duchem polskim. Najmniéj ma nauki, kto siebie poczytując za najuczeńszego, uznaje za fałsz wszystko, czego nie pojmuje albo co się nie zgadza z jego przekonaniem. Najwięcéj się myli, kto siebie ogłasza nieomylnym.

Dnia 3 sierpnia 1873.

M. Akielewicz.

Przegląd literatury zagranicznéj.

Ph. Gauckler: „Le Beau et son histoire.“ **Paris, Germer Baillière. 1873.**

Bez wszelkich optymistycznych uprzedzeń przyznać można Francji, że jeżeli zwyciężona na polu walki postradała dyplomatyczne przewodnictwo, na polu naukowém stoi dziś wyżéj nad inne narody Europy.

Naród myślicieli stał się dziś narodem żołnierzy, wykonawców zasady „siła przed prawem“ i z upokorzoną, lekceważoną Francją pod względem produkcji naukowych mierzyć się nie może. Niemcy nie produkują dziś naukowo nic zgoła, nawet słynne ich przed niedawnym czasem uniwersytety, nawet takie wszechnice jak w Berlinie, Heidelbergu i Bonn upadają bardzo widocznie, starych bowiem powag nie staje a młode siły rzucają się w ramiona militaryzmu i gründerstwa.

Inaczéj we Francji. Zarówno w dziale nauk ścisłych i przyrodniczych jak filozoficznych, prawniczych i estetycznych zjawiają się coraz nowe a często znakomite dzieła, wydawane bądźto osobno, bądź w tak zwanych bibljotekach i przeglądach czasowych.

„Bibliothèque d'histoire contemporaine“ i „Bibliothèque de philosophie contemporaine“ wydały same tylko sto kilkadziesiąt dzieł wyborowych, do których należy także powyżéj wymienione estetyczne dzieło Gaucklera, stające godnie obok znakomitych estetycznych dzieł Taine'a, Lévêque'a i Boutmy'a, wydanych również staraniem „Bibliothèque de philosophie contemporaine.“

Gauckler hołduje nowoczesnym zapatrywaniom na sztukę i pod względem historycznym stoi na stanowisku Taine'a, różni się zaś od niego pod względem ogólnéj, metafizycznéj teorji o pięknie.

Dzieło „Le Beau et son histoire“ dzieli się na dwie części. Pierwsza obejmuje ogólną teorję piękna: autor wylicza tu i rozbiera rozmaite żywioły składające się na utworzenie dzieła sztuki a więc ideał, wyobraźnię, uczucie religijne etc. Druga klasyfikuje sztukę i wykazuje prawa historycznego jéj rozwoju. Jak widzimy, dzieło to obejmuje całość estetyki w najrozciąglejszém jéj pojęciu.

Stawiane dotąd definicje piękna są niezliczone i tworzą chaos, z którego wyjść trudno. Jedni widzą w pięknie jedność i rozmaitość, dla drugich życie jest główną cechą nadającą dziełu sztuki piękno — wielu zaś życzy, aby wyrazem piękna była nieskończoność w skończoném dziele. Wszystkie te i tym podobne definicje sprawiają, iż ze wszystkich części filozofji estetyka najmniejszy zrobiła postęp. Cousin starając się w dziele swojém „Du Vrai, du Beau et du Bien“ pogodzić wszystkie teorje i rozwiązać naraz wszystkie trzy zadania, pogmatwał sprawę bardziéj jeszcze, zaczęto bowiem ścisłość treści poświęcać piękności formy a miasto detalicznego rozbioru stawiać piękne lecz ogólnikowe wnioski. Zapomniano zupełnie o zasadzie des Cartes'a, iż należy kwestje dzielić, aby je dokładnie rozwiązać, stawiano więc syntezy pozornie piękne lecz kruche.

Nie myślimy bynajmniéj na miejsce wszystkich teorji piękna, które Gauckler krytykuje, i definicji, którą sam stawia, wprowadzić naszéj własnéj, twierdzimy tylko, iż teorja piękna, która, obaliwszy wszystkie dotychczasowe, zrobi w estetyce istotny przełom na rzecz postępu, polegać będzie musiała przedewszystkiém na analizie psychologicznéj uczucia podziwu czy uwielbienia i na ścisłém porównaniu tego wewnętrznego faktu z zewnętrznemi jego przyczynami. Teorja ta zamiast jednoczyć przyczynę zewnętrzną, t. j. piękno z prawdą i dobrém, starać się przedewszystkiém będzie musiała

oznaczyć różnice zachodzące między pięknem w przyrodzie a pięknem w dziele ludzkiém.

Gauckler nie trzyma się tych zasad, to też dzieło jego jest dalekiém jeszcze od ideału niezależnéj estetyki i jest raczéj samo dziełem sztuki, aniżeli wytłómaczeniem sztuki za pomocą krytyki.

Definicja piękna zamyka pierwszą część dzieła i jest mniéj więcéj powtórzeniem wszystkich tych, które autor krytykował. „Le beau, mówi on, est la manifestation vraie de l'unité de l'être par des phénomènes finis."

Tak postawiona definicja piękna komplikuje pojęcie zamiast je upraszczać i wkracza w dziedzinę metafizyki. „L'unité de l'être" to ni mniéj ni więcéj jak panteistyczny Bóg Spinozy i Schellinga. Gauckler nie doprowadza wprawdzie swéj teorji do ostateczności, nie utrzymuje jak wielu innych, iż sztuka jest religją istoty nieskończonéj, w każdym jednak razie stoi w estetyce na stanowisku metafizyczném.

Pomimo wielu równie pięknych jak głębokich myśli zawartych w pierwszéj części dzieła GQucklera, część druga jest nierównie oryginalniejsza i bardziéj pociągająca. Znajdujemy tu wiele zupełnie nowych i śmiało wypowiedzianych idei, ugrupowanych około pewnéj przewodniéj teorji, godnéj chwili zastanowienia.

Henryk Taine w swéj „Philosophie de l'art" podzielił sztukę na dwie kategorje. W pierwszéj mieści poezję, rzeźbę i malarstwo, nazywając je sztuką naśladującą. Do drugiéj zalicza architekturę i muzykę, w których naśladownictwo przyrody żadnéj niemal nie odgrywa roli. Gauckler krytykując tę naciąganą (jak twierdzi) klasyfikację, stawia sam klasyfikację racjonalną podług naturalistycznéj metody. Do pięciu sztuk przytoczonych przez Taine'a dodaje Gauckler taniec a na miejsce poezji kładzie mównictwo, do którego należy poezja jako część składowa. Te sześć sztuk dzieli autor na dwie grupy: sztuki polegające na rysunku, rozwijające się w przestrzeni, i sztuki polegające na ruchu (mouvement), rozwijające się w czasie. Do pierwszych zalicza rzeźbę, malarstwo i architekturę, do drugich taniec, muzykę i mównictwo.

Postawiwszy tak udatną, zdaniem naszém, klasyfikację, przechodzi Gauckler do historji sztuk i twierdzi, iż pierwotnemi sztukami były architektura i mównictwo jako pierwsze nieodzowne potrzeby człowieka, do których przyłączały się późniéj kolejno inne, począwszy od chwili, gdy do pożytecznego pomyślano dodać piękne i przyjemne. Dla ozdobienia domu lub świątyni pokryto ją kolorami (początek malarstwa) i płaskorzeźbą. Dla nadania mowie ludzkiéj wyrazistości i harmonji ujęto ją w rytm poetycki, dla unormowania rytmu wynaleziono narzędzia muzyczne — nakoniec dla uzupełnienia śpiewnego słowa powstał taniec z właściwym mu wyrazem i wdziękiem.

Postęp sztuk to ich wzajemna niezależność. W wiekach pomyślności rozwijają się niezależnie jedne od drugich, w wiekach upadku przychodzą znowu do pierwotnego stanu. W wiekach średnich n. p. malarstwo i rzeźba służą tylko do zdobienia tumów a pełne ich życie rozwija się dopiéro od wieku odrodzenia. Dziś jeszcze opera przedstawia nam wybitne połączenie trzech sztuk polegających na ruchu a wielkie pomniki architektoniczne rzadko obywają się bez pomocy rzeźby.

Taki jest podług Gaucklera wzajemny stósunek sztuk i takie prawo historycznego ich rozwoju. Trudno nie przyznać mu bystrości loicznéj i bogactwa erudycji, trudno jednak nie spostrzedz wielu historycznych niedokładności i naciągań. Teoretycznie klasyfikacja Gauklera jest wyborną, lepszą od innych znanych podziałów, teoretycznie uzasadniony jest również wzajemny stósunek sztuk — czy jednak historycznie prawdą jest, iż w początkach cywilizacji obie kategorje sztuk przedstawiają się w połączeniu?

Sam Gauckler mówi (str. 99), iż w najdawniejszéj epoce sztuki egipskiéj rzeźba jest zupełnie samodzielną a dziełami jéj nie jest płaskorzeźba (bas reliefs) lecz statua. Boutmy dowiódł także, że świątynia grecka jest niejako futerałem zamykającym statuę bóstwa, któremu jest poświęconą. A zatém statua dawniejszą jest niż świątynia czyli rzeźba dawniejszą jest niż architektura. Rzeźba stósuje się do architektury — to prawda — nie da się jednak zaprzeczyć, iż pierwiastkowo było inaczéj.

Autor, chcąc być poprawnym i ścisłym, powinien był powiedzieć: malarstwo, rzeźba i architektura stanowią osobną grupę, w któréj przewodzi architektura; mównictwo, muzyka i taniec stanowią drugą grupę, w któréj główną rolę odgrywa mównictwo. Dr. **W. M. O.**

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

— Praktyki naszych klerykałów. W imieniu obrażonéj przyzwoitości publicznéj, w imieniu wszystkich ludzi, którym zacność i honor drogiemi są, w imieniu godności dziennikarskiéj zanosimy na tém miejscu solenny protest przeciw brzmieniu i formie „Kroniki miejscowéj" zamieszczonéj w Nr. 53 wychodzącego tutaj **Orędownika**.

Nie przytaczamy ani streszczamy tu tego artykułu, przynoszącego hańbę i zakałę polskiemu dziennikarstwu. Każden wyraz, zaprawiony jadem bezsilnéj złości i prywatą, wywołałby rumieniec wstydu nawet na wytartém czole najostatniejszéj z paryzkich petroleusek. Niech przeczyta te haniebne wyrazy, te bezwstydne miotania się na osobistości każden z naszych Obywateli a przekona się, do jakiego stopnia bydlęcości mogą dojść ludzie pijani ambicją, odurzeni zawiścią — ludzie bez Boga w duszy, posługujący się Imieniem Jego, kalający religję i kościół przez nadużywanie ich ku własnym, ambitnym, więc brudnym celom. Każden człowiek musi mieć coś świętego — kto bez miłości i poszanowania dla Boga i Ojczyzny depce cynicznie, choćby w przystępie namiętności, wszystko co mu świętém i drogiém być powinno, brudnym jest i ze społeczności wydzielonym być winien.

Czytajcie, Obywatele polscy, wskazany powyżéj numer „Orędownika" i wydajcie sąd.

Pytamy Was w imię Boga i Ojczyzny, co sądzicie o takiém wystąpieniu? Co sądzicie o stronnictwie, którego organem jest takie pismo? Co sądzicie o kierowniku takiego pisma?

Przypatrzcie się zdemaskowanéj twarzy tego klerykała i jego popleczników — sądźcie, co wart on i ci, co go moralnie i materjalnie wspomagają?

Kościół i komuna — miłość chrześcijańska i złość piekielna!

Jakżeż to pogodzić?

„Orędownik" jest przyznanym i uznanym organem klerykałów!

Pytamy, co sądzić o ich religijności?

„Kierownik Orędownika" postawiony jako perła klerykalizmu na kandydata poselskiego w kilku powiatach!

Pytamy, co sądzić o stronnictwie, które posiada tak kosztowne perły?

Odwołujemy się do Was, Obywatele polscy, apelujemy do znanych Waszych religijnych i patrjotycznych uczuć — wydajcie sąd!

Jeżeli dziennikarstwo nasze zbyt jest bojaźliwe lub niedołężne, by protestować i potępić zamachy na publiczną przyzwoitość, to obudź się ty sama, opinjo publiczna — wydaj sąd!

* * *

— **Kongres sławiańskich pedagogów** odbędzie się w Wiedniu w dniach 26, 27 i 28 serpnia b. r. — Redakcja pisma naszego otrzymała specjalne zaproszenie i zwraca uwagę naszych pedagogów oraz przyjaciół oświaty i rzeczy sławiańskich na ważność tego zjazdu, który stanie się podstawą stałych stósunków pomiędzy nauczycielami wszystkich szczepów sławiańskich.

O zjeździe tym nie rozpisujemy się dziś obszerniéj, cały bowiem jego program i cel podaliśmy w osobnym obszernym artykule pisma naszego z dnia 1 marca b. r. Nr. 9.

Kto w kongresie tym chce wziąć udział, niech się listownie zgłosi najpóźniéj aż do 15 sierpnia b. r. do Redakcji „Poseł z Budcze" w Pradze czeskiéj Petergasse Nr. 5, załączając 2 fl. w. a., za co otrzyma pocztą kartę wstępu na posiedzenie kongresu, jako też prawo głosowania na kongresie i brania udziału we wszystkich korzyściach i dogodnościach, przygotowanych przez sekcją wiedeńską dla członków kongresu.

Jako prowizoryczna sekcja kongresu są podpisani nauczyciele z Zagrzebia, Lublany, Białogrodu, Kartowic, Idryi, Pragi i innych miast sławiańskich, których nazwiska podaliśmy we wzmiankowanym powyżéj artykule: „Program zjazdu sławiańskich pedagogów."

* * *

— Z listu naszego kochanego **Teofila Lenartowicza**, pisanego z Florencji dnia 31 lipca b. r. do jednego z współpracowników naszego pisma, udzielamy z przyjemnością naszym czytelnikom kilka ciekawych ustępów, świadczących o płodnéj czynności w rozmaitych kierunkach sztuki tego niepospolitego piewcy i rzeźbiarza naszego. Pisze on pomiędzy innemi co następuje:

„Kochany Kazimierzu! Uradowałem się niezmiernie Twoim artykułem o Sobótkach, w Dzienniku Poznańskim ogłoszonym, w którym napomykasz o Wandzie i smoku tak właśnie, jak ja rzecz tę w dość obszernym poemacie „Wanda", napisanym w r. 1865 a obecnie posłanym do druku do Warszawy, przedstawiłem. Jak to wyjdzie otrzymasz egzemplarz, braciszku drogi, aby Ci się tylko podobało.

„Moja Wanda i Biały Bóg wojują ze Smokiem pod rozmaitemi postaciami, pojawiającemi się w naszych podaniach. Walka to Ormuzda i Arymana a na pole historyczne przeniesiona Niemców i Sławian. Jakże się cieszę, braciszku, że się zgadzamy i że nie będę sam jeden, który z tą myślą występuję.

„Pierwszą strofkę o Sobótkach od wiersza:

„Dzisiaj wieczór krótki"

napisałem mając lat szesnaście. Jest to pierwszy mój wiersz, a był nawet dość długi, ale całości jego nie pamiętam. Ciemniewski świadkiem tego, który znał mnie w tych wiosenkowych latach.

„Z kilku mojemi wierszami zdybałem się, o których autorze nie wiedzą i to jest jego najwyższą sławą, — lud je polski śpiewa, chwała Bogu!

„Trzy moje poemata, z których pierwszy „Wanda", drukuje się w Warszawie, a drugi o „Założeniu Poznania" i trzeci „Biały Bóg", — wyjdą rychło potém. Wszystkie te rzeczy pisane są gminnym językiem i formą ludowéj dumy, podobnéj, jeśli można naśladować, do pieśni o pułku Igora.

„Mój kochany Kaziu, w tych robotach dla przyszłości jesteśmy na jedném polu, ale ponieważ trzeba i o dzisiejszéj mówić nędzy i w kole narodowych cierpień czuć, jak pękają kości, więc zobaczysz i Piekielną Komedją, poemat, w którym Twój lirnik stary inném słowem prawi; ile łez, ile goryczy, tyle ich w kielichu podanym Polsce przez Opatrzność.

„Ha! trudno, trzeba zostawić ślad swojego bytu i miejsca, gdzieśmy przebywali.

„Ze Sławianami stykałem się tu: z Serbami, Czechami i Moskalami. I cóż ci powiem: oto, że jutrzenka naszéj swobody daleka jeszcze bardzo. Najwyżéj z nas narodowo stoją Serby! Co za serca bohaterskie, nie masz wyobrażenia! To prawdziwe typy Sławian. My zfrancuzieli, Moskale dzicy, barbarzyńcy, nihiliści czy nie nihiliści albo dworacy, służalcy. Czechy egoiści i zdrętwiały naród — a jednak w przyszłości musi się to wszystko połączyć, — bo są ku temu dążności, — ale po iluż to jeszcze bojach!...

* * *

— **Przeciw wychództwu ludu naszego do Ameryki** podają wszystkie nasze pisma szumne bardzo artykuły a mimo tego nie robią sobie skrupułu ogłaszać anonsów zachęcających lud do wychództwa. W rozterce téj między słowem artykułu, które nic nie kosztuje, a czynem umieszczania anonsu, który przynosi kilka talarów, widzimy prostą niemoralność, na którą zwracamy uwagę kierowników naszéj opinji publicznéj. — Nie umiemy również utaić zgrozy, jaka nas przejmuje czytając upominania się pism naszych o anonsy od komitetów przedwyborczych. To uganianie się za sprawami administracji w części redakcyjnéj jest w swoim rodzaju wielce charakterystyczném.

Skrzynka do listów.

— Pierwsze trafne rozwiązanie zagadki **Lwica** nadesłał pan Bolesław Górski z Wołczyszczowic w Galicji. Nagroda posłaną Mu została.

— P. Kar. Rud. w Lubece: Zapewnić możemy Pana, że „Epidemja" Narzymskiego i „Epidemist oder Jagd nach Milionen" Dr. B. Schweitzera są różne i niepodobne do siebie rzeczy.

— Gebrüder Klinge — Annoncen-Bureau in Düsseldorf: Die Annonce des Agenten Leopold Lindau betr. die Auswanderung nach America, kann in unserem Blatte nich aufgenommen werden.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.